



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Henryk Wichiciel

## Moja Warszawa

### Wilanów, 1 – 18 sierpnia 1944 roku

Pogoda dżdżysta, pada drobny deszcz tzw. kapuśniaczek, parno. Wyją syreny alarmowe ogłaszając alarm lotniczy, lecz samolotów nie słyhać ani nie widać. Na Czerniakowskiej, gdzie wówczas mieszkałem, pojawiają się wojskowe samochody zabierając niemieckich żołnierzy przebywających w tym czasie poza koszarami. O godzinie 12 wsiadam do tramwaju na przystanku róg Czerniakowskiej i Podchorążych. Jadę do Wilanowa i dalej do Powsina – po kartofle. Wracam późnym popołudniem z pełnym workiem na plecach. Pieszko, ponieważ ciuchcia jadąca w kierunku Warszawy nie zatrzymała się na żadnym przystanku. Dochodzę do Powsinka, gdzie był przystanek kolejki Powsinek – Mijanka i tu też kolejka się nie zatrzymała. Idę dalej wzdłuż torów. Od strony Wilanowa biegają chłopcy z bronią gotową do strzału, ostrzegając mnie, abym dalej nie szedł – „W Warszawie powstanie zbrojne, piekło, zabijają cię!” Wśród tych chłopców są moi bracia cioteczni z Powsina Janek, Zygmunt i Wacek Dylewscy oraz szwagrowie Janek Koperski i Janek Gajowiak.

Nie zwracam uwagi na ostrzeżenia, idę ulicą Vogla i dalej w kierunku skwerku przed kościołem w Wilanowie. Niespodziewanie zza parkanu wyskakuje Niemiec wrzeszcząc: „Hände hoch!” Dopada do mnie, rewiduje i kolbą karabinu pcha do pomieszczenia narożnego w budynku dawnego „Zajazdu pod Dębem – Stara Karczma” (był tam sklep). Jest ciemno, a gdy oczy przyzwyczajają się do ciemności widzę, że w pomieszczeniu jest już kilkunastu młodych mężczyzn, wśród których rozpoznaję znajomych z Czerniakowa. Chłopaków, z którymi mieszkam w rejonie ulic: Czerniakowskiej – Podchorążych – Zwierzynieckiej – Łącznej. Tu spędzamy noc.

Rano, 2 sierpnia. Niemcy wpędzają nas do kościoła, w którym jest już wielu aresztowanych mężczyzn z Wilanowa, Powsinka, Siekierok, Augustówki, Kępy Zawadowskiej i okolic oraz przypadkowych osób – takich jak ja. Drzwi kościoła zatrzaskują się, a w uszach na długo pozostaje wrzask Niemców. Wielu z zatrzymanych uważa się na ból pleców, od ciosów niemieckich kolb karabinowych.

Do następnego dnia nikogo do kościoła nie wpuszczają, tylko od strony zakrystii co jakiś czas otwierają się drzwi i z krzykiem wpychają kolejnego aresztowanego. Przez cały ten czas, tj. do 3 sierpnia, nie dają nam nic do jedzenia ani do picia. Wśród nas uwięzieni są również księża z tutejszej parafii (nazwisk nie pamiętam), którzy wspierają nas duchowo napawając nadzieją, że z Bogiem przetrwamy i nic nam się nie stanie. Wielu spośród nas spowiada się. Śpiewamy też pieśni, między

innymi „Serdeczna Matko...” Początkowo nieśmiało, potem coraz głośniejszą, pełną piersią, błagając Boga i Przenajświętszą Matkę Bożą o pomoc i ratunek.

Modlitwy nasze zostają wysłuchane, bo oto w godzinach popołudniowych od strony zakrystii otwierają się drzwi. Zamieszanie. Kilka kobiet wnosi kotły pełne zupy mlecznej z zacierkami, chleb i kawę do picia... – od trzech dni pierwszy posiłek. Ulga i nadzieja w Bogu, że może będzie dobrze, że będziemy zwolnieni. Ksiądz proboszcz i kobiety miejscowe wybłagały u Niemców zgodę na pożywienie nas, a i prawdopodobnie – zwolnienie. Po posiłku rozpoczyna się selekcja – kogo zwolnić, kogo nie. Wszystkich miejscowych zwalniali, ale warszawiaków zatrzymują przeprowadzając nas do pomieszczenia sklepowego w zajeździe, w którym spędziliśmy pierwszą noc po zatrzymaniu. Jest nas kilkudziesięciu.

Rano, 4 sierpnia. Wypędzają nas przed budynek, na skwerek przed kościołem, gdzie zgromadzeni są chyba wszyscy mieszkańcy Wilanowa i Powsinka. Rozpoczyna się swoisty targ – rozdzielają nas na kwatery. Zadaniem mieszkańców jest zakwaterowanie i żywienie, jak również pilnowanie nas, abyśmy nie uciekli. Za ucieczkę grożą surowe sankcje. Po Niemcach wszystkiego można się spodziewać – nawet śmierci.

Codziennie rano lub wieczorem, o ustalonej godzinie, zmuszani jesteśmy stawiać się na skwerku przed kościołem, skąd pod silną eskortą uzbrojonych niemieckich żołnierzy pędzeni jesteśmy na wały wzdłuż Wisły w rejonie Zawad i Kępy Zawadowskiej. Tam kopimy okopy oraz wycinamy drzewa i krzaki, aby oczyścić pole ostrzału pomiędzy wałem i rzeką.

Nie pamiętam dokładnie, chyba 6 – 8 sierpnia zostaję razem z towarzyszem niedoli wyznaczony do obierania ziemniaków w kuchni polowej rozmieszczonej pod wiatą przy dawnej stajni, w rejonie budynków administracyjno-gospodarczych pałacu. Nagle zauważamy, że w bramę (tę od strony stajni) Niemcy wpędzają grupkę młodych chłopaków z podniesionymi do góry rękoma. Dwaj hitlerowcy niosą w pałatce odebraną im broń i jakieś jeszcze materiały. Jest godzina przedpołudniowa, chyba około 10-tej. Zamieszanie, krzyki. Niemcy stoją z bronią gotową do strzału naprzeciw wystraszonych chłopaków. Ustawiają ich twarzą do muru. Z budynku naprzeciwko wypada jakiś dowódca, wydaje rozkazy. Potem zabierają pod eskortą czterech chłopców z grupy. Idą w lewo, przez główny dziedziniec, na tyły pałacu (straciłem ich z oczu). Po paru minutach słyszę serię strzałów, a po chwili cztery pojedyncze – z pistoletu. Powtarza się to kilka razy: kolejno – czterech Niemców wyprowadza po czterech chłopców na tyły pałacu. Egzekucja trwa. W jednej z kolejnych czwórek prowadzonych na śmierć, któryś z chłopaków głośno krzyczy: „Niech żyje Pol...” – i milknie w pół słowa, widocznie rażony kolbą przez jednego z konwojujących oprawców. Przypuszczam, że wraz z kolegą jesteśmy jedynymi Polakami – świadkami tej zbrodni. Mam wówczas 17 lat, kolega jest starszy.

Ostatni raz na wałach jesteśmy w nocy 18/19 sierpnia 1944 roku. W tym czasie pododdziały pułku „BASZTA”, idąc na pomoc powstańcom Warszawy, toczą bitwę z Niemcami w Wilanowie. Jest wielu zabitych (widzę martwe ciało młodej dziewczyny, pewnie sanitariuszki, zawieszona na ogrodzeniu z prawej strony wejścia do kościoła). Wspólnie z kolegą decydujemy się na ucieczkę razem z powstańcami, którzy z marszu zdobyli Sadybę.

## **Sadyba, 19 sierpnia – 2 września 1944 roku**

Po zajęciu Sadyby przez żołnierzy AK pułku „BASZTA” wszędzie pojawia się mnóstwo ludzi. Większość z nich uciekła przed Niemcami pacyfikującymi dzielnice: Sielce, Czerniaków i dolny Mokotów. Kto uszedł z życiem, bez dobytku osobistego i żywności, a dotarł do Sadyby, gnieździ się gdzie tylko może – u znajomych, w piwnicach, stodołach u chłopów na ulicy Bernardyńskiej.

W tym okresie życie na Sadybie toczy się w ciągłym strachu. Niemcy bez przerwy nękają mieszkańców i pozycje obronne powstańców ogniem armatnim od strony Wisły, Czerniakowa i Służewca, a lotnictwo kilka razy dziennie dokonuje nalotów, ostrzału z broni pokładowej i bombardowań. Podczas jednego z nalotów trzy bomby trafiają w budynek mieszkalny przy ul. Zielonej 39. Ginie wówczas kilka osób, a wiele odnosi rany. Matkę z rodzeństwem odnajduję u znajomych – państwa Broczkowskich na ul. Zielonej 44, gdzie zostali przygarnięci po wypędzeniu z ul. Podchorążych 10.

24 sierpnia 1944 roku umiera nasz znajomy, kolega Jerzy Pożarski pseudonim „Zemsta”, żołnierz AK pułku „BASZTA”, ciężko ranny w brzuch. Niedługo potem, 2 września, ginie od kul siepaczy ukraińskich na tzw. czarnych drogach Sadyby pan Tadeusz Nowacki – lekarz, farmaceuta, szwagier gen. Dreszera. Obaj pochowani są na cmentarzu w Wilanowie w alei zasłużonych, ofiar II wojny światowej.

Któregoś dnia spotykam na ulicy Gołaszewskiej kolegę Henia Mężyńskiego, mojego rówieśnika (17 lat), pełniącego służbę na stanowisku ogniowym rkm-u skierowanym w stronę drewnianego mostu na Jeziorku, pod który z drugiej strony podchodzili Niemcy.

Pod koniec sierpnia ostrzał artylerii i ataki lotnictwa nasilają się, są duże straty wśród powstańców i cywilów. Niepewność i strach przed utratą życia powodują masową ucieczkę, szczególnie po zruceniu

ulotek przez Niemców, nakazujących ewakuację w kierunku dworca południowego, ulicami Sobieskiego, Wilanowską do Puławskiej. Formuje się długi sznur ludzi, wśród których jestem ja z kolegą Staszkiem Zabłockim. Dochodzę do ul. Wilanowskiej i wracam, bo słychać w tłumie, że przy ul. Puławskiej hitlerowcy wyluskują młodych chłopaków i ich rozstrzelują. W tej sytuacji wracam na Sadybę do matki i rodzeństwa. W drodze powrotnej na polach zbieram trochę pozostałej marchwi, kartofli, gdzieś znajduję pomidora. Pola te są tak dokładnie przeorane przez zgłodniałą ludność Sadyby, że trudno znaleźć coś więcej do zjedzenia, ale udaje mi się trochę napęcznieć kieszenie. Po powrocie do matki znalezione warzywa natychmiast trafiają do garnka i w krótkim czasie znikają w naszych zgłodniałych żołądkach.

Któregoś dnia zostaję przyjęty do powstańczej kuchni jako pomoc do obierania ziemniaków. Obierki zbieram i przynoszę do domu, a matka gotuje z nich kartoflanekę. Kuchnia i punkt żywienia powstańców mieszczą się w willi przy ulicy Gołaszewskiej 1 (róg Jeziornej 15).

30 sierpnia podczas ostrzału artyleryjskiego od strony Siekierok jeden z pocisków trafia w szczyt budynku Zielona 44, gdzie mieszkamy u państwa Broczkowskich. Strach i obawa o życie zmuszają nas do ucieczki na ulicę Bernardyńską, gdzie lokujemy się w stodole u jednego z gospodarzy.

2 września, godzina 7-8 rano. Piękna, słoneczna pogoda. Razem z bratem Frankiem idziemy na ulicę Zieloną po zostawiony tam w piwnicy woreczek z sucharami (brat ma 7 lat). Jesteśmy na ulicy Bonifacego, około 80 metrów na wschód od Cmentarza Czerniakowskiego. Rozpoczyna się strzelanina. Wskakujemy z bratem w przydrożne kartoflisko. Od strony Jeziora Czerniakowskiego nadlatuje 5 sztukasów (samolotów), pikując w stronę cmentarza. Przelatują tuż nad naszymi głowami, ziejąc ogniem z działek pokładowych i karabinów maszynowych. Słychać jak brzęczące kule uderzają w blaszane tablice grobów. Leżymy w bruzdzie kartofliska, a po przelocie samolotów zrywamy się i pędzimy w kierunku Bernardyńskiej. Po drodze gubię brata. Nie wiem jak to się stało, ale nagle znajduję się przed budynkiem w rejonie dawnej lodowni nad jeziorem. Naraz słyszę za moimi plecami głos Niemca, a na lewym ramieniu czuję jego rękę, którą przydusza mnie do ziemi. Pistoletem trzymany w ręku wskazuje mi kierunek, gdzie mam się czołgać i schować, w wykopany koło tego budynku schronie (transzei). Podrywam się i jednym skokiem wpadam do niego. Jest tam już wielu takich jak ja. Za mną wskakuje jeszcze jeden chłopak w moim wieku. W rękę trzyma pistolet gotowy do strzału. Krzyczę: „wyrzuć go, bo jak wpadną Niemcy to wszystkich nas rozstrzelają!” Natychmiast to robi – wyrzuca go na zewnątrz schronu w trawę. Za chwilę słychać gardłowe „Raus!” (dobrze, że nie wrzucił granatu) i staje przed nami Niemiec nakazując wyjście z rękami do góry.

Wychodzimy ze schronu. Jest nas około 40 osób, młodych, starych, dziewcząt i chłopców. Niemcy kierują nas w stronę cmentarza. Jesteśmy pełni strachu, dziewczyny płaczą, my się trzęsiemy jak „osiki”, chyba będą nas „rozwalać”. Ale nie, pędzą nas dalej ulicą Powsińską do Fortu Czerniakowskiego. Kolumna liczy kilkaset osób i ciągle się powiększa.

Cała Bernardyńska się pali (dużo stodoł, drewnianych budynków). Matki i rodzeństwa nie spotykam. Boję się, że zginęli. Okazuje się potem, że Niemcy uformowali drugą kolumnę, którą popędzili wzdłuż jeziora do Wilanowa, Powsina i dalej na Klarysew. Po drodze ludzie uciekają gdzie się tylko da (Niemcy w końcu wszystkich puścili, przeważnie starszych i dzieci). W mojej kolumnie kilku mężczyzn niesie na drzwiach młodą dziewczynę, w moim wieku, ze strasznie połamanymi nogami (otwarte złamania). Zmieniam jednego z nich. Donoszę dziewczynę do rogu Bonifacego i Powsińskiej i dalej już nie mogę, zmienia mnie inny mężczyzna.

Docieramy do Fortu Czerniakowskiego. Wejście do niego zablokowane jest przez czołg z lufą i karabinami maszynowymi skierowanymi na dziedziniec. W forcie widzę setki ludzi – leżą na noszach i bezpośrednio na ziemi, większość w samej bieliźnie. Są to ranni wyniesieni z polowego szpitala mieszczącego się przy ulicy Okrężnej (duży, szary budynek koło parku). Obok czołgu, tarasującego wejście, leży młody chłopiec, w moim wieku – martwy.

Wśród rannych powstańców spotykam mojego kolegę, żołnierza AK, który 1 sierpnia podczas ataku na koszary przy ulicy Podchorążych został ciężko ranny – dostał postrzał kulą „dum-dum” w prawe płuco. Leżał w szpitalu powstańczym przy ulicy Chełmskiej, a po jego zbombardowaniu dzięki pomocy sióstr zakonnych, pielęgniarek i lżej rannych kolegów, polami czerniakowskimi dotarł na Sadybę do nowo zorganizowanego szpitala w budynkach mieszkalnych przy Okrężnej.

Matki i rodzeństwa nie ma na Forcie Czerniakowskim. Dołączam do nich dopiero po ucieczce z Niemiec w grudniu 1944 roku.

2 września 1944 roku. W godzinach wieczornych z Fortu Czerniakowskiego wyruszamy w kierunku Pruszkowa, gdzie hitlerowcy zorganizowali obóz przejściowy dla warszawiaków. Ranni nie będący w stanie samodzielnie chodzić zostają załadowani na chłopskie wozy (bez koni), ciągnięte przez zdrowych mężczyzn, wśród których jestem i ja. Trasa marszu prowadzi ulicami: Sobieskiego, Wilanowską, dalej do Służewca, Ochoty i do dworca kolejowego Warszawa Zachodnia. Rankiem 3 września załadują nas do elektrycznego pociągu, którym zostajemy dowiezieni do warsztatów kolejowych w Pruszkowie.

## Obóz przejściowy w Pruszkowie, pobyt w obozach na Dolnym Śląsku

Dwa dni spędzone w obozie pruszkowskim od 3 do 5 września 1944 roku to jeden wielki koszmar: głód, strach, niepewność jutra. Ludzie koczują byle gdzie. Szczęśliwy, kto może schronić się pod dachem warsztatów bądź w wolnostojącym wagonie, odstawionym do remontu. Większość jednak pozostaje pod gołym niebem, na ziemi przykrytej uratowanym z pożogi kocem, kołdrą, jakąś kapotą, kurtką czy innym okryciem. Ja z towarzyszem niedoli – Gienkiem – lokuję się w starym wagonie towarowym stojącym na końcu warsztatów. Jest tu spokojnie i wygodnie, a co najważniejsze dach nad głową, a pod nogami drewniana podłoga. Spędzamy tu trzy dni. Około południa 3 września przyjeżdża kuchnia polowa z zupą i kawą. Wygłodniali ludzie od razu rzucają się na jedzenie. Od dwóch dni nic nie jadłem (piłem tylko wodę), więc robię to samo. Korzystam z żołnierskiej menażki, którą zabrałem z Warszawy. Między nogami szturmujących ludzi docieram do kuchni, gdzie dostaję chochlę zupy. Natychmiast wycofuję się w bezpieczne miejsce wylewając 1/3 zawartości menażki na ziemię. W krytycznej sytuacji są ludzie starzy, niedołęźni, chorzy i ranni. Ci nie są w stanie sami zdobyć coś do jedzenia, czekają na litość innych, którzy – jeśli mogą – dają coś do jedzenia. Pomoc tym ludziom zorganizowana zostaje przez pielęgniarki – wolontariuszki. Lekarze i pielęgniarki, którzy znaleźli się w tym obozie robią cuda, nie mając żadnych środków medycznych ratują życie.

5 września 1944 roku. Ogólne zamieszanie, krzyki, przeganianie, formowanie kolejek do wyjścia z obozu w kierunku torów, gdzie już podstawione są wagony towarowe. Następuje selekcja, trzy kolejki – w jednej młodzi chłopcy i dziewczęta, w drugiej nieco starsi, w trzeciej starzy i dzieci, których ładują do osobnych wagonów.

Razem z kolegą trafiam do jednego wagonu, lokując się przy zakratowanym okienku. Jest nas tutaj w sumie 72 osoby. Nie ma gdzie usiąść, więc na razie wszyscy stoją. Od zewnątrz zatrzaśnięto drzwi i zamknięto na hak. Po niedługim czasie czujemy szarpnięcie i pociąg rusza. Teraz każdy szuka miejsca, żeby chociaż kucnąć. Przez okienko w wagonie widać mijane stacje kolejowe: Grodzisk Mazowiecki, Żyrardów, Skierniewice... Transport pędzi bez przystanków na południowy zachód. Dokąd? Tego nie wiemy. Ludzie na mijanych stacjach rzucają w okienka wagonów chleb, owoce i cokolwiek mają przy sobie do jedzenia, nawet surowe kartofle. Wiele z tych artykułów rozbija się o wagon, ale czasami ktoś celnie trafia w okienko. Łapiemy to dzieląc się z towarzyszami wspólnej niedoli.

Jedziemy dwie doby bez większych postojów, chyba że pod semaforem. Wreszcie transport staje, otwierają się drzwi do wagonów i pozwalają nam wychodzić. Ludzie wyskakują na ziemię, prostują się – zdrętwiali długotrwałą jazdą w jednej, niewygodnej pozycji.

Na peronie kotły z zupą „ersatz” – niby grzybowa, szczawiowa, trudno odróżnić oraz kotły z napojem – miętą. Ludzie piją tą zupę, a po kilkunastu minutach większość z nich niecierpliwie szuka ustronnego miejsca. To masowe rozwolnienie omija mnie i kolegę, bo piliśmy tylko miętę, prawie po trzy miski. Na każdy wagon wydają dodatkowo dwukilogramowy bochenek chleba. Dla każdego w wagonie wychodzi po pół cienkiej kromki...

Postój następuje w mieście Halle. Na tej stacji transport liczący trzydzieści wagonów rozdzielają na dwie części, z których jedna skierowana zostaje do Wrocławia, a druga nie wiem gdzie, prawdopodobnie w kierunku Monachium. Mój transport wyrusza w kierunku Wrocławia. Zatrzymujemy się nocą z 7 na 8 września. Niemcy wrzeszczą, wyganiają nas z wagonów na rampę, formują kolumnę i pędzą nie wiadomo gdzie. Wreszcie „Halt!” Widzimy druty kolczaste, a właściwie płot z drutu kolczastego w kształcie korytarza z drucianym dachem. Wewnątrz wartownicy z psami, które na nasz widok niesamowicie, wściekle zaczynają ujadać. Otwierają bramę wpędzając całą kolumnę wystraszonych ludzi do wnętrza. Jest tu pełno baraków, do których karzą wchodzić. Wewnątrz panują ciemności. Co chwilę wpadamy na ludzi śpiących na podłodze depezcąc ich. Słysząc przekleństwa.

Znajduję z kolegą wolne miejsce na podłodze. Padam z wycieńczenia i natychmiast zasypiam, lecz nie na długo, bo za jakiś czas atakują mnie pluskwy. Nie da się spać – trzeba uciekać na świeże powietrze, gdzie lokujemy się na kopie piachu przeciwpożarowego (jest jeszcze ciepły, bo dni są słoneczne). W ten sposób śpimy do rana.

Skoro świt ogólna pobudka, apel, liczenie i szykowanie do łaźni – bo okazało się, że jesteśmy w części obozu zwanej kwarantanią. Rano, 9 września, łaźnia, odwszenie ubrania, spisywanie ewidencji i robienie zdjęć z numerem na piersiach (którego nie pamiętam i tu dowiaduję się, że jestem w obozie pracy przy cukrowni Klecin – Wrocław). W obozie tym przebywam około 2-3 tygodnie, w czasie których codziennie pędzą nas na pobliskie pola do kopania buraków cukrowych należących do cukrowni.

Z obozu Klecin zostają skierowani do obozu Reichsbannerlager Brockau koło Wrocławia, gdzie zostają zatrudnieni w parowozowni kolejowej. Pracuję w różnych działach – kilkanaście dni wymieniam ruszta, czyszczę paleniska w parowozie i wentyle, przepychając w nich otwory specjalnym szpikulcem (drucikiem). Z kolei skierowują mnie do pracy na tzw. górkę rozrządową, na którą parowóz wypycha wagon, a ja mam obowiązek rozszczeplić je poprzez podniesienie haka, po czym wagon sam zjeżdża

z górki na właściwy tor przeznaczenia. Na górcie tej pracuję do chwili, gdy z mojej winy wykoleja się jeden wagon i to ze sprzętem wojskowym (na platformie był czołg). Po otrzymaniu tęgich batów w tyłek wysłany zostaję do innej roboty, do Niemca, który sprawdza stan techniczny kół i osi w wagonach na bocznicę kolejowej. Moim zadaniem jest noszenie potężnej olejarki z olejem, który dolewam do wskazanych zbiorników przyosiowych.

Niemiec okazuje się dobrym człowiekiem. Przynosi mi płaszcz kolejarski, czapkę, załatwia talon na buty (nowe). Nadchodzi zima, jest coraz zimniej, a ja w krótkich spodenkach, marynareczka wiatrem podszyta i w spadających z nóg pantoflach. Odwzajemniam mu się czuwaniem nad jego snem (jest już stary, ma chyba ponad 70 lat i stracił dwóch synów na froncie wschodnim) i napelnianiem zawsze pustej fajki tytoniem, który uzyskuję z uzbieranych petów w czyszczonych przeze mnie wagonach i fajek wygranych w „oczko” ze współwięźniami – Czechami (w obozie siedzi dużo Czechów, Ukraińców i folksdojczów, którzy tak jak ja pracują w parowozowni). Czesi w wolne od pracy niedziele otrzymują przepustki i jeżdżą do domu, przywożąc żywność i między innymi papierosy.

W parowozowni jest kuchnia i stołówka przeznaczona tylko dla Niemców (obcokrajowcy żywnością są w obozie i muszą powiedzieć, że nie tak źle – nie chodzę głodny), niemniej jednak kiedy jestem w pracy przychodzę tam, stoję w kolejce do kotła i zawsze chochelkę zupy, a czasami i jakiś serdelek dostaję do miski. Kucharkami są wspaniałe dziewczyny – Polki, Rosjanki, Ukrainki i Czeszki, które nie żałują zupy i nie patrzą na ręce i twarz – kto jest kto. I tym sposobem dożywiam się, czekając rychłego już wyzwolenia..

Pracując przy przeglądzie osi wagonów któregoś dnia, chyba tak gdzieś w pierwszej dekadzie października 1944 roku, widzę wjeżdżający na bocznicę transport kilkudziesięciu wagonów towarowych z wojskiem. Po zatrzymaniu natychmiast rozstawiają się wokół niego wartownicy. Przystępuję z Niemcem do rutynowego przeglądu osi i kontroli kół. Tymczasem wartownicy, SS-mani, odpędzają nas od transportu. Okazuje się, że w transporcie jadą jeńcy wojenni – powstańcy z Warszawy. W każdym wagonie około trzydziestu. Słyszę krzyki tych chłopców – skąd są, gdzie walczyli. Padają nazwiska, dzielnice (Mokotów, Śródmieście, Czerniaków...), ale gdzie tu spamiętać, kiedy SS-mani krzyczą i nie dopuszczają nawet tego Niemca.

## Ucieczka z Niemiec

W połowie grudnia 1944 roku decyduję się na ucieczkę i powrót do domu – do Warszawy. Po nocnej zmianie w pracy mam całą dobę wolnego. W tym kolejowym obozie pracy z zasady można wyjść na miasto, obowiązkowo z literką „P” w widocznym miejscu zewnętrznego ubrania. Specjalnie nikt nas nie kontroluje, trzeba tylko w określonym czasie stawić się do pracy.

Kupuję bilet kolejowy do Opola i dalej do Katowic. Nad ranem z Katowic wsiadam do pociągu jadącego do Częstochowy. Nawiązuję rozmowę z kobietą siedzącą w przedziale obok mnie. Jest to handlarka wioząca żywność nabytą gdzieś w rejonie Opola. W czasie tej rozmowy dowiaduję się, gdzie jest stacja graniczna i jak na niej mam się zachować, gdyż odbywa się tam szczegółowa kontrola pasażerów. Wsiadam razem z nią pomagając jej nieść kosze. Nad ranem wyprowadza mnie ze stacji i zostawia na środku wsi granicznej. Jest jeszcze ciemno. Przed rozstaniem pokazuje mi, gdzie jest zielona granica znikająca w opłotkach wsi.

Nie wiem co robić, gdzie się udać, w każdej chwili mogę natknąć się na graniczny patrol. Lecz oto przede mną jakaś postać przemykająca przez wieś. Doganiam ją i okazuje się, że to miejscowy chłopak idzie do Częstochowy. Żeby się nie zdradzić, kim jestem, pytam go gdzie mieszka tu taki to, a taki człowiek (zmyślam pierwsze lepsze nazwisko – Michalski), lecz on nie frajer – od razu się kapnął, że ja nie szukam nikogo lecz chcę przekroczyć granicę. Ryzykuję i oświadczam, że uciekam z Niemiec, jestem z powstańczej Warszawy i chcę się dostać do Częstochowy, by wrócić do rodzinnego miasta. Okazuje się, że to chłopak w moim wieku. Zgadza się na to, abym razem z nim przekroczył granicę. „Sztama” – podajemy sobie ręce. W drodze instruuje mnie co mam robić, ale nie mogę go stracić z pola widzenia, gdyż nie będzie się zatrzymywał, nawoływał i czekał na mnie.

Granica przebiegała wzdłuż podmokłego terenu, co jakiś czas przecinana rowem melioracyjnym. Biegnę za nim z pół godziny, upadając, chyłkiem biegnąc lub chowając się za drzewa, robiąc wszystko tak jak mój „przewodnik” czyni, zachowując przy tym taką samą odległość, aby nie stracić go z oczu. Jest jeszcze ciemnowo, lecz w dali za drzewami starego sosnowego lasu zaczyna przebijać się wschodzące słońce. Zaczyna świtać, a ja wciąż biegnę. W pewnym momencie chłopak ginie mi z pola widzenia. Po chwili słyszę ciche wołanie i widzę jak siedzi za grubym drzewem, kiwa na mnie wskazując, żebym usiadł koło niego. Siadam okropnie zmęczony, zmoczony do kolan, a on wskazując ręką pokazuje mi dwóch jeźdźców na koniach w odległości około 2 kilometrów. Tam jest zielona granica – mówi. – a ci na koniach to żołnierze służby granicznej. Do Częstochowy pozostało około 20 kilometrów, cały dzień marszu.

Po krótkim odpoczynku ruszamy w dalszą drogę. Po przejściu kilku kilometrów zostajemy zatrzymani przez partyzantów i odprowadzeni w głębszy las w kierunku pozostałych. Rozpoczyna się wypytywanie, kim jesteśmy, skąd i dokąd idziemy. Jeden z partyzantów poznaje mojego wybawiciela i przewodnika. Melduje dowódcy, że go zna i że są z tej samej wsi. On poszukiwany przez Gestapo w roku 1941 uciekł do partyzantki. Ręczy za niego, lecz mnie nie zna. Mój przewodnik wyjaśnia okoliczności naszego spotkania i oświadcza, że mnie nie zna. Jednocześnie informuje dowódcę partyzantów, że uciekam z Niemiec. Wypytyują mnie, tak jak kolegę, rewidują, legitymują i w końcu dają spokój.

Dowódca i jego podwładni postanawiają, że zostaną z nimi, bo jest ich mało, a do walki z Niemcami przyda się każdy młody człowiek. Uznają, że skoro jestem z Powstania Warszawskiego, to jestem ostrzelany, umiem walczyć i posługiwać się bronią. Ja tymczasem nie miałem w ręku broni i nie walczyłem zbrojnie. W czasie rozmowy przekonują dowódcę oddziału i ten puszcza mnie i mojego kolegę (nawet nie znam jego imienia, nie mówiąc już o nazwisku).

Z nieznanym kolegą rozstajemy się na przedmieściach Częstochowy. W mieście odnajduję moją ciocię Retmańczykową (też wypędzona z Warszawy), odpocząłem u niej kilka dni i załatwiłem sobie przepustkę na pociąg do Żyrardowa (dalej Niemcy nie zezwalają na jazdę pociągiem). Koło Żyrardowa we wsi Wiskitki mój szwagier ma rodzinę, u której w 1943 roku jakiś czas przebywałem. Na miejscu odnajduję moją siostrę Irenę, która również przeżyła wypędzenie z Warszawy i obóz przejściowy tzw. „Zieleniak” na Grójeckiej. Dowiaduję się od niej, że jej mąż a mój szwagier zginął w połowie sierpnia na Mokotowie – śmiertelnie ranny od wybuchu pocisków rakietowych zwanych „krową” lub „szafą”. Szwagier nazywał się Kazimierz Feldy, mieszkał przy ulicy Czczota i był czynnym żołnierzem pułku „BASZTA” AK. Walczył na górnym Mokotowie w rejonie Odyńca, Puławskiej, Malczewskiego, Woronicza.

Po kilku dniach odpoczynku idziemy z siostrą w kierunku Piaseczna szukać matki i rodzeństwa. Po dwóch dniach marszu docieramy do Piaseczna. Tu odnajduję kuzynów, którzy mieszkają w Mysiadle, w dawnym majątku ziemskim. Od nich dowiaduję się, że matka, siostra i brat żyją i są u dziadków (rodzice mojego ojca) w Konstancinie. Idziemy więc, zaopatrzeni w żywność. Wreszcie osiągamy cel. Po czterech miesiącach rozłąki znów jesteśmy razem. Rozmowom i wspomnieniom nie ma końca.

Mieszkam w Konstancinie do wyzwolenia miasta, tj. do 15 stycznia 1945 roku, kiedy rusza wielka ofensywa styczniowa, doprowadzając do wyzwolenia Warszawy i całej Polski aż do Odry. 19 stycznia wracam z całą rodziną do stolicy. Zajmujemy zniszczone w połowie mieszkanie przy ulicy Chełmskiej 12. Remontuję i wstawiam znalezione drzwi, okna i kawałek szyby, by mogło wpadać przez nie słońce i było widać ulicę. Nocą jest bardzo niebezpiecznie, barykadujemy się więc w mieszkaniu. Po ulicach grasują pijani rosyjscy żołnierze, a naszych też nie brakuje. Walą w drzwi więc nie palimy żadnego światła. W mieszkaniu jestem jedynym mężczyzną – mam 18 lat, a mój braciszek 8. Razem z nami są trzy młode kobiety, na które właśnie nocne łazęgi mają największą ochotę.

W budynku tym przez pierwsze kilka dni mieszkamy sami. Dom w dużej części jest zniszczony przez 3 bomby lotnicze i kilkanaście pocisków artyleryjskich. Do mieszkania wchodzi się przez zwały gruzu, gdyż jedna z bomb zniszczyła wejście na naszą klatkę schodową.

Pod koniec stycznia 1945 roku rozpoczynam pracę przy odgruzowywaniu zniszczonej Warszawy, za co otrzymuję obiad z zupą, pół kilograma chleba, 10 dekagramów margaryny i marmolady, które przynoszę do domu dla rodziny. Tak rozpoczyna się nowy etap mojego życia w wyzwolonej, ukochanej stolicy, z której tak brutalnie z całą rodziną zostałem wypędzony 2 września 1944 roku.